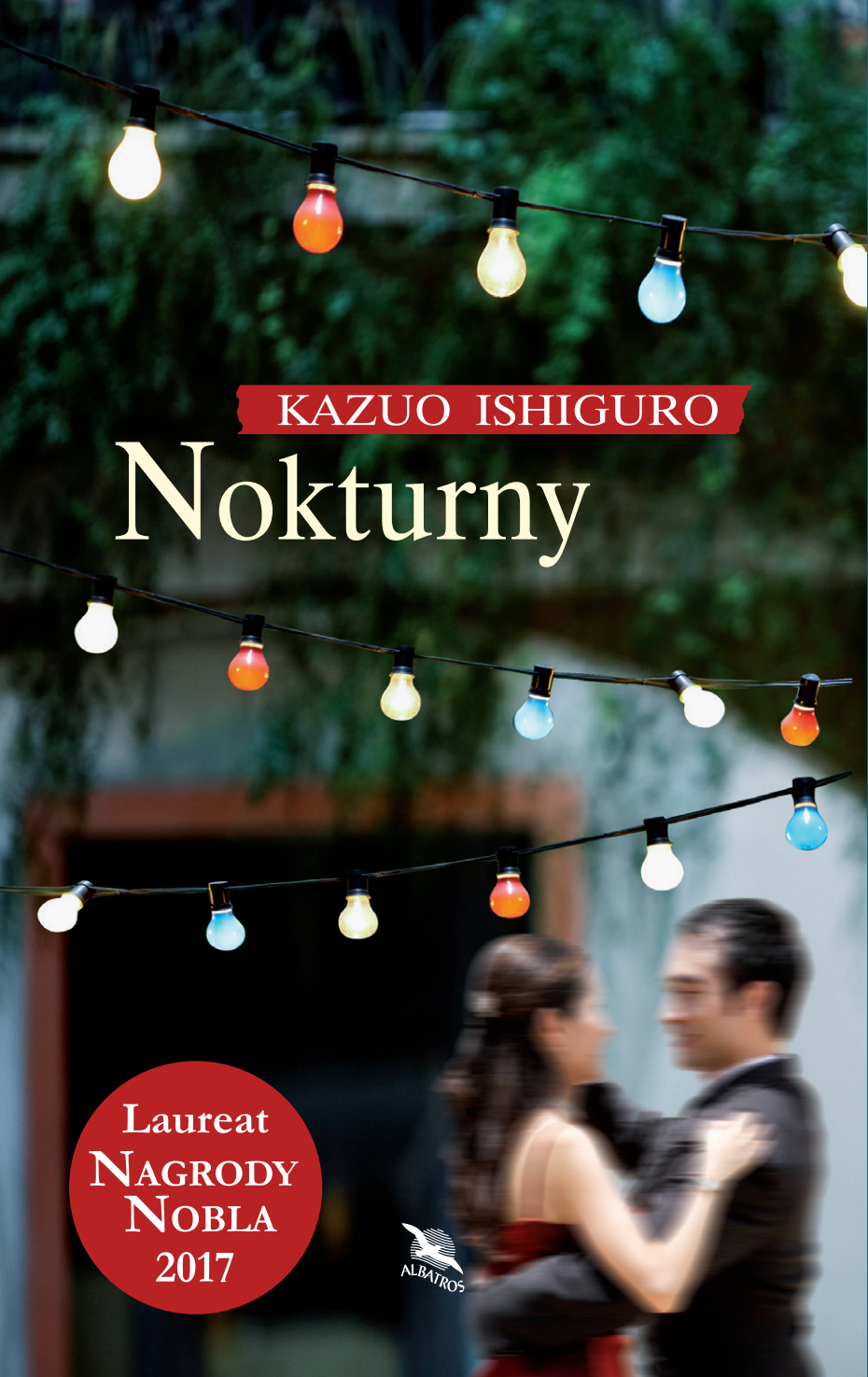


A blurred photograph of a man and a woman dancing at night. They are in the lower right corner, with the man in a dark suit and the woman in a dark dress with a red top. Above them are three strings of colorful string lights (yellow, orange, blue, and white) hanging across the frame. The background is dark and out of focus, suggesting an outdoor setting with trees.

KAZUO ISHIGURO

Nokturny

Laureat
NAGRODY
NOBLA
2017

The logo for Albatros, featuring a stylized white bird in flight above the word "ALBATROS" in a serif font.

ALBATROS

Tego przedpołudnia, gdy dostrzegłem Tony’ego Gardnera siedzącego wśród turystów, do Wenecji właśnie przybywała wiosna. Kończyliśmy nasz pierwszy pełny tydzień na świeżym powietrzu – wielka ulga, powiem wam, po wszystkich tych godzinach grania w głębi kawiarni, na drodze gości wchodzących i schodzących po schodach. Tego ranka wiał dość silny wiatr i wokół nas trzepotała nowa markiza, ale wszyscy czuliśmy się bardziej rześko i świeżo, co chyba słyszeć było w naszym graniu.

Ale ja tu gadam, jakbym był stałym członkiem orkiestry, a tak naprawdę jestem jednym z „cyganów”, jak nas nazywają inni muzycy, jednym z tych facetów wędrujących dookoła placu i pomagających w tej z trzech kawiarnianych orkiestr, która akurat nas potrzebuje.

Przeważnie gram tutaj, w Café Lavena, ale w ruchliwe popołudnie mogę zagrać parę kawałków z chłopakami z Quaddri, przejść do Floriana, a potem wrócić na tę stronę placu do Laveny. Dogaduję się dobrze z nimi wszystkimi, z kelnerami też, i gdzie indziej byłbym już stałym członkiem zespołu, ale w tym mieście, tak zapatrzonym w tradycję, wszystko stoi na głowie. Wszędzie gdzie indziej fakt, że jest się gitarzystą, działałby na korzyść człowieka. Ale tutaj? Gitara! Szefowie kawiarni nie bardzo wiedzą, jak się zachować. To zbyt nowoczesne, turystom może się nie spodobać. Zeszłej jesieni kupiłem sobie klasyczny jazzowy model z owalnym otworem rezonansowym, coś, na czym mógłby grać Django Reinhard, nikt więc nie powinien mnie pomylić z jakimś rockandrollowcem. To nieco ułatwiało sprawę, ale szefowie nadal nie byli zachwyceni. Prawda jest taka, że gitarzysta, choćby sam Joe Pass, nie dostanie na tym placu stałego angażu.

Oczywiście jest jeszcze mała kwestia, że nie jestem weneccjaninem ani nawet Włochem. To samo dotyczy tego wielkiego Czecha z saksofonem altowym. Owszem, lubią nas, inni muzycy nas potrzebują, ale nie odpowiadamy oficjalnym wymaganiom. Graj i trzymaj głowę na kłódkę, mówią zawsze szefowie lokalu. W ten sposób turyści nie zorientują się, że nie jesteście Włochami.

Garnitur, ciemne okulary, włosy ulizane i zaczesane do tyłu, i jeśli nie będziecie się odzywali, nikt się nie pozna.

Ale nie mogę narzekać. Wszystkim trzem kawiarnianym orkiestrom, zwłaszcza gdy muszą grać jednocześnie w swoich rywalizujących namiotach, potrzebna jest gitara, coś miękkiego, solidnego, ale wzmocnionego, walącego w tle akordami. Pewnie myślicie, że trzy orkiestry grające jednocześnie na tym samym placu to musi być katastrofa, ale plac Świętego Marka jest wystarczająco duży, żeby to znieść. Przechadzający się po nim turysta słyszy, jak jedna melodia cichnie, a druga staje się coraz głośniejsza, jakby zmieniał stacje w radiu. Czego turyści nie trawia, to tych klasycznych kawałków, wszystkich tych instrumentalnych wersji słynnych arii. Jasne, to jest Święty Marek i nie chcą tu najnowszych przebojów, ale co jakiś czas chcieliby posłuchać czegoś, co mogą rozpoznać, może starego numeru Julie Andrews albo motywu ze słynnego filmu. Pamiętam, jak ubiegłego lata przechodziłem od orkiestry do orkiestry i w ciągu jednego popołudnia dziewięć razy grałem temat z *Ojca Chrzestnego*!

Ale tego wiosennego przedpołudnia graliśmy dla dość licznej grupy turystów i nagle zobaczyłem Tony'ego Gardnera, jak siedzi sam jeden nad kawą, prawie na wprost nas, może jakieś sześć metrów od naszej markizy. Stale widzimy tu na placu różne sławne osoby i nigdy

nie robimy z tego wielkiego halo. Może pod koniec numeru członkowie orkiestry szepną sobie słówko. Patrz, tam siedzi Warren Beatty. Spójrz, to Kissinger. Ta kobieta grała w filmie o tym facecie, z którym zamienili się twarzami. Jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Bądź co bądź to plac Świętego Marka. Ale kiedy uświadomiłem sobie, że siedzi tam Tony Gardner, to było co innego. To mnie ruszyło.

Moja matka uwielbiała Tony’ego Gardnera. W tamtych czasach, za komuny, naprawdę niełatwo było zdobyć takie płyty, ale mama miała chyba prawie całą kolekcję. Kiedyś, jako dzieciak, zadrapałem jedną z tych cennych płyt. W naszym mieszkaniu panowała ciasnota, a chłopak w moim wieku musiał czasem trochę poszaleć, zwłaszcza podczas tych długich zimowych miesięcy, kiedy nie można się bawić na dworze. Wymyśliłem więc sobie skakanie z kanapy na fotel, za którymś razem chybiłem i trąciłem adapter. Igła ze zgrzytem przejechała przez płytę – działo się to, oczywiście, na długo przed CD – i mama przyszła z kuchni, i mnie skrzyczała. Czułem się bardzo podle, nie tylko dlatego, że mama na mnie krzyczy, ale dlatego, że była to jedna z płyt Tony’ego Gardnera, a wiedziałem, ile dla niej znaczy. I wiedziałem też, że na płycie będzie słyszeć zgrzyty, gdy on będzie słodkim głosem śpiewał swoje amerykańskie

piosenki. Po latach, kiedy już pracowałem w Warszawie i zdobyłem wiedzę o czarnym rynku płyt, odkupiłem mamie wszystkie zniszczone albumy Tony'ego Gardniera, łącznie z tym, który porysowałem. Zajęło mi to trzy lata, ale wciąż zdobywałem nowe, jeden po drugim, i za każdym razem, gdy odwiedzałem mamę, przywoziłem jej coś nowego.

Rozumiecie więc, dlaczego tak mnie to ruszyło, kiedy zobaczyłem go w odległości zaledwie paru metrów. Początkowo prawie nie mogłem w to uwierzyć i może nawet przegapiłem jeden akord. Tony Gardner! Co by powiedziała moja droga mama, gdyby to usłyszała! Ze względu na nią, ze względu na pamięć o niej, musiałem podejść i zamienić z nim parę słów, nawet gdyby inni muzycy mieli się ze mnie śmiać i mówić, że zachowuję się jak pikolak.

Oczywiście, nie mogłem podbiec do niego, roztrącając stoliki i krzesła. Należało skończyć set. Była to, mówię wam, męka, zostały jeszcze trzy, cztery kawałki, a ja przez cały czas myślę, że on może w każdej chwili wstać i odejść. Na szczęście nadal siedział samotnie, wpatrzony w swoją kawę, i mieszał ją, jakby się zastanawiał, co też kelner mu przyniósł. Wyglądał jak każdy inny amerykański turysta: miał na sobie bladoniebieską koszulkę polo i luźne szare spodnie. Jego włosy, bardzo ciemne

i bardzo błyszczące na okładkach płyt, teraz były prawie całkiem siwe, ale nadal było ich dużo i cesał je tak jak dawniej. Zauważyłem go po raz pierwszy, gdy trzymał w ręku okulary przeciwsłoneczne, gdyby nie to, wątpię, czy bym go rozpoznał, ale gdy graliśmy, a ja nie odrywałem od niego wzroku, założył je, potem znów zdjął i po chwili znów założył. Wyglądał na zamyślonego i byłem rozzarowany, że nie słucha naszego grania.

Wreszcie nadszedł czas na przerwę. Nic nie mówiąc pozostałym, wybiegłem z namiotu, podszedłem do stolika Tony'ego Gardnera i przeżyłem chwilę paniki, nie wiedząc, jak zacząć rozmowę. Stałem za jego plecami, ale jakiś szósty zmysł kazał mu się odwrócić i spojrzeć na mnie – pewnie była to sprawa tych wszystkich lat, kiedy podchodzili do niego fani – a ja już się przedstawiałem i mówiłem mu, jak bardzo go podziwiałem, że jestem z tej orkiestry, której przed chwilą słuchał, i że moja mama była jego wielbicielką, a wszystko na jednym oddechu. Słuchał z poważnym wyrazem twarzy, kiwając co parę sekund głową, jakby był moim lekarzem.

– Naprawdę? – powtarzał co pewien czas, a ja mówiłem i mówiłem. Po chwili uznałem, że pora kończyć i zbierałem się do odejścia, kiedy się odezwał:

– Więc pochodzi pan z jednego z tych komunistycznych krajów. To musiało być ciężkie.

– To wszystko przeszłość. – Wzruszyłem dziarsko ramionami. – Jesteśmy teraz wolnym, demokratycznym państwem.

– Miło to słyszeć. I to pański zespół grał teraz dla nas. Niech pan siada. Napije się pan kawy?

Powiedziałem, że nie chciałem się narzucać, ale pan Gardner uprzejmie nalegał.

– Nie, nie, niech pan siada. Więc mówi pan, że pańska matka lubiła moje płyty?

Usiadłem wobec tego i opowiedziałem mu więcej. O mamie, o naszym mieszkaniu, o płytach z czarnego rynku. A ponieważ nie potrafiłem sobie przypomnieć tytułów albumów, zacząłem opisywać ilustracje na okładkach, tak jak je zapamiętałem, a on za każdym razem podnosił palec w górę i mówił coś w rodzaju:

– O, to pewnie *Nieźrównany*. *Nieźrównany Tony Gardner*.

Myślę, że obu nas bawiła ta gra, ale nagle zauważyłem, że wzrok pana Gardniera gdzieś powędrował i odwróciwszy się, zobaczyłem podchodzącą do naszego stolika kobietę.

To była jedna z tych Amerykanek, które są tak zadbane i ubrane, ze wspaniałymi włosami i figurą, że nie wie się, w jakim są wieku, póki nie zobaczy się ich z bliska. Z daleka mógłbym ją wziąć za modelkę z błyszczących

magazynów mody. Kiedy jednak usiadła obok pana Gardnera i zsunęła okulary przeciwsłoneczne na czoło, dotarło do mnie, że musi mieć przynajmniej pięćdziesiątkę, może więcej.

– To jest Lindy, moja żona – powiedział do mnie pan Gardner.

Pani Gardner błysnęła uśmiechem trochę jakby wymuszonym.

– Kto to jest? – zwróciła się do męża. – Widzę, że znalazłeś przyjaciela.

– Tak, kochanie. Gawędziliśmy sobie miło z panem... przepraszam, przyjacielu, nie wiem, jak masz na imię.

– Jan – odpowiedziałem pośpiesznie. – Ale przyjaciele mówią do mnie Janek.

– Chce pan powiedzieć, że pańskie zdrobniałe imię jest dłuższe niż to prawdziwe? Jak to się sprawdza? – spytała Lindy Gardner.

– Nie bądź wobec pana niegrzeczna, kochanie.

– Nie jestem niegrzeczna.

– Nie żartuj z czyjegoś imienia, kochanie. Bądź grzeczną dziewczynką.

Lindy Gardner zwróciła się do mnie z wyrazem bezradnego zdumienia na twarzy:

– Czy pan wie, o czym on mówi? Czy ja pana obraziłam?

– Nie, skąd – zapewniłem. – Absolutnie nie, proszę pani.

– On mi zawsze mówi, że jestem niegrzeczna dla publiczności. Ale ja nie jestem niegrzeczna. Czy byłam teraz dla pana niegrzeczna? – Tu zwróciła się do pana Gardnera: – Mówię do publiczności w sposób naturalny, mój drogi. To jest mój styl. Nigdy nie bywam niegrzeczna.

– Już dobrze, kochanie – uspokoił ją pan Gardner. – Nie róbmym z tego wielkiej sprawy. Zresztą ten pan to nie publiczność.

– Ach tak? Więc kim on jest? Odnalezionym po latach siostrzeńcem?

– Bądź miła, kochanie. To kolega muzyk. Zawodowiec. Przed chwilą dla nas grał. – Wskazał ręką markizę.

– Słusznie! – Lindy Gardner znów zwróciła się do mnie: – Grał pan tam przed chwilą? To było ładne. Grał pan na akordeonie, czy tak? Naprawdę ładnie.

– Bardzo pani dziękuję. Prawdę mówiąc, jestem gitarzystą.

– Gitarzystą? Żartuje pan. Obserwowałam pana za ledwie minutę temu. Siedział pan tam, obok kontrabasiisty, i grał tak pięknie na akordeonie.

– Pani wybaczy, ale na akordeonie gra Carlo. Ten grubo łysy...

– Jest pan pewien? Nie żartuje pan sobie?

– Kochanie, powiedziałem ci już, żebyś nie była dla pana niegrzeczna.

Właściwie nie krzyczał, ale jego głos stał się nagle twardy i gniewny, po czym zapadła dziwna cisza. Pan Gardner przerwał ją sam, mówiąc łagodnie:

– Przepraszam, kochanie. Nie chciałem się na ciebie złościć.

I wziął ją za rękę. Spodziewałem się, że ona ją zabierze, ale nie, przysunęła krzesło tak, żeby być bliżej niego, i położyła drugą rękę na ich splecionych dłoniach. Siedzieli tak przez kilka sekund, pan Gardner z opuszczoną głową, jego żona wpatrzona w przestrzeń ponad jego ramieniem, w stronę bazyliki po drugiej stronie placu, chociaż jej oczy chyba niczego nie widziały. Przez tych kilka chwil jakby zapomnieli nie tylko o mnie, choć z nimi siedziałem, ale o wszystkich ludziach na placu. Potem pani Gardner powiedziała prawie szeptem:

– Już dobrze, mój drogi. To moja wina. Wyprowadziłam cię z równowagi.

Siedzieli tak jeszcze przez chwilę, trzymając się za ręce. Potem pani Gardner westchnęła, puściła dłoń męża i spojrzała na mnie. Patrzyła na mnie już wcześniej, ale teraz było inaczej. Tym razem poczułem jej wzrok. Zupełnie jakby miała tarczę wyskalowaną od zera do

dziesięciu i teraz postanowiła ją nastawić na sześć albo siedem, a ja odczułem to naprawdę mocno, i gdyby poprosiła, żebym coś dla niej zrobił, powiedzmy, żebym poszedł do kawiarni i przyprowadził szefa, zrobiłbym to z radością.

– Janek – powiedziała. – Tak pan ma na imię, prawda? Przepraszam, Janek. Tony ma rację. Nie miałam prawa tak do pana mówić.

– Proszę się nie przejmować, naprawdę.

– A jeszcze przerwałam wam rozmowę. Pewnie o muzyce. Wiecie co? Zostawię was samych, żebyście mogli dokończyć.

– Nie ma powodu, żebyś odchodziła – zapewnił pan Gardner.

– Jest powód, mój drogi. Koniecznie muszę zajrzeć do sklepu Prady. Przyszłam tylko, żeby ci powiedzieć, że nie będzie mnie dłużej, niż mówiłam.

– Dobrze, kochanie. – Tony Gardner po raz pierwszy się wyprostował i odetchnął głęboko. – Skoro jesteś pewna, że ci to sprawi przyjemność.

– To będzie dla mnie czysta rozkosz. A wam życzę przyjemnej rozmowy. – Wstała i dotknęła mojego ramienia. – Powodzenia, panie Janek.

Patrzyliśmy, jak się oddala, a potem pan Gardner spytał, jak to jest być muzykiem w Wenecji. Pytał też o or-

kiestrę Quaddri, która właśnie zaczęła grać. Odniosłem wrażenie, że nie słucha moich odpowiedzi zbyt uważnie, i już miałem pożegnać się i odejść, gdy nagle rzekł:

– Jest coś, co chciałbym panu zaproponować, przyjacielu. Opowiem panu, co sobie wymyśliłem, a pan zgodzi się albo nie. Pochylił się i ściszył głos. – Mogę panu coś powiedzieć? Po raz pierwszy Lindy i ja przyjechalśmy do Wenecji na nasz miesiąc miodowy, dwadzieścia siedem lat temu. I mimo wszystkich szczęśliwych wspomnień związanych z tym miejscem, nigdy tu nie wróciliśmy, w każdym razie nie we dwoje. Kiedy więc planowaliśmy tę wycieczkę, tę naszą szczególną wycieczkę, powiedzieliśmy sobie, że musimy spędzić parę dni w Wenecji.

- Czy to pańska rocznica ślubu, panie Gardner?
- Rocznicą? – Wyglądał na zaskoczonego.
- Przepraszam. Tak pomyślałem, bo powiedział pan, że to państwa szczególna wycieczka.

Jeszcze przez chwilę miał zdziwioną minę, po czym roześmiał się głośnym, huczącym śmiechem i wtedy przypomniałem sobie piosenkę, której mama w kółko słuchała, tę, w której Gardner przechodzi do monologu i mówi, że wcale nie żałuje, iż ta kobieta go rzuciła, a potem wybucha dudniącym śmiechem. Teraz ten sam śmiech zahuczał na placu.

– Rocznicą? – zdziwił się pan Gardner. – Nie, to nie jest nasza rocznica ślubu. Ale to, co proponuję, nie jest zbyt odległe, bo chcę zrobić coś bardzo romantycznego. Chcę zaśpiewać jej serenadę. W prawdziwie weneckim stylu. I tu zaczyna się pańska rola. Pan zagra na gitarze, ja zaśpiewam. Zrobimy to z gondoli, popłyniemy pod okno i ja dla niej zaśpiewam. Wynajmujemy palazzo nie- daleko stąd. Okno sypialni wychodzi na kanał. Po zmroku będzie idealnie. Latarnie na ścianach ledwo rozpras- zają mrok. Pan i ja w gondoli, ona podchodzi do okna. Wszystkie jej ulubione kawałki. Nie musimy ciągnąć tego zbyt długo, wieczory wciąż są chłodnawe. Tylko trzy albo cztery piosenki, to wszystko, o co mi chodzi. Zostanie pan należycie wynagrodzony. Co pan na to?

– Panie Gardner, będę ogromnie zaszczycony. Jak mó- wiłem, był pan dla mnie kimś bardzo ważnym. Kiedy chce pan to zrobić?

– Jeżeli nie będzie padać, może dziś wieczorem? Oko- ło wpół do dziewiątej? Zjemy kolację wcześniej i o tej porze będziemy już w domu. Ja pod jakimś pretekstem wyjdę i spotkam się z panem. Gondola będzie umówio- na, popłyniemy kanałem i zatrzymamy się pod oknem. Będzie idealnie. Co pan na to?

Możecie sobie chyba wyobrazić, że to było jak speł- nione marzenie.

A poza tym sam pomysł wydawał się taki uroczy, ta para, on po sześćdziesiątce, ona po pięćdziesiątce, zachowująca się jak zakochane nastolatki. Pomysł był tak piękny, że prawie, choć nie całkiem, kazał mi zapomnieć o scenie między nimi, jakiej niedawno byłem świadkiem. Chodzi mi o to, że nawet na tym etapie gdzieś w głębi serca wiedziałem, że sprawy nie potoczą się tak gładko, jak on to sobie wyobraża.

Przez kilka następnych minut siedzieliśmy z panem Gardnerem, omawiając szczegóły: które piosenki wybrał, jakie tonacje woli, tego rodzaju rzeczy. Potem nadszedł czas, żebym wracał pod markizę na następny set, wstałem więc, uścisnąłem mu dłoń i zapewniłem, że może na mnie liczyć dzisiejszego wieczoru.

*

Kiedy szedłem na spotkanie z panem Gardnerem, ulice były ciemne i ciche. W tamtych czasach zawsze się gubiłem, jeśli zbyt oddaliłem się od placu Świętego Marka, więc choć wyszedłem odpowiednio wcześniej i choć doskonale wiedziałem, gdzie jest mostek, przy którym kazał mi się stawić pan Gardner, i tak spóźniłem się parę minut.

Stał pod latarnią w pogniecionym ciemnym garniturze, a koszulę miał rozpiętą do trzeciego czy czwartego

guzika, tak że widać było owłosiony tors. Przeprosiłem za spóźnienie, a on powiedział:

– Co tam parę minut. Lindy i ja jesteśmy małżeństwem od dwudziestu siedmiu lat. Co znaczy parę minut?

Nie był zagniewany, ale wydawał się, że jest w nastroju poważnym i uroczystym, wcale nie romantycznym. Za nim stała łagodnie kołysząca się na wodzie gondola i zobaczyłem, że gondolierem jest Vittorio, facet, za którym nie przepadałem. W mojej obecności zawsze zachowywał się przyjaźnie, ale wiem, wiedziałem i wtedy, że chodzi i wygaduje paskudne rzeczy, same bzdury, na temat ludzi takich jak ja, których nazywa „przybyszami z nowych krajów”. Dlatego kiedy przywitał mnie tego wieczoru jak brata, kiwnąłem mu tylko głową i czekałem w milczeniu, podczas gdy on pomagał panu Gardnerowi wsiąść do gondoli. Potem podałem mu gitarę – wziąłem hiszpańską, nie tę z owalnym otworem rezonansowym – i też wsiadłem.

Pan Gardner wiercił się na przedniej ławeczce i w pewnym momencie usiadł tak ciężko, że omal się nie wyróciliśmy. Ale on jakby tego nie zauważył i kiedy odbiliśmy od brzegu, wpatrywał się nieruchomo w wodę.

Przez kilka minut płynęliśmy w milczeniu obok ciemnych budynków i pod niskimi mostami. Wreszcie pan Gardner otrząsnął się z zamyślenia.

– Niech pan posłucha, przyjacielu. Wiem, że uzgodniliśmy, co będę śpiewał, ale myślałem o tym. Lindy bardzo lubi piosenkę *By the Time I Get to Phoenix*. Nagrałem ją kiedyś dawno temu.

– Jasne, panie Gardner. Mama zawsze mówiła, że pańska wersja jest lepsza od wykonania Sinatry. Albo od tego słynnego wykonania Glenna Campbella.

Pan Gardner kiwnął głową, przez chwilę nie widziałem jego twarzy. Zanim skręciliśmy za róg, Vittorio wydał odbijający się echem od ścian okrzyk gondolierów.

– Kiedyś śpiewałem jej to bardzo często – mówił pan Gardner. – Myślę, wie pan, że chciałaby to dzisiaj usłyszeć. Zna pan melodię?

Zdażyłem już wyjąć gitarę z futerału i zagrałem kilka taktów piosenki.

– O pół tonu wyżej – poprosił pan Gardner. – Do E. Tak śpiewałem na płycie.

Zagrałem więc akordy w tej tonacji i może po pierwszej linii pan Gardner zaczął śpiewać, bardzo cicho, półgłosem, jakby z trudem przypominał sobie słowa. Ale jego głos dobrze rezonował w cichym kanale. Prawdę mówiąc, brzmiał bardzo pięknie. Przez chwilę poczułem się, jakbym znowu był chłopcem, w tamtym naszym mieszkaniu, ja leżę sobie na dywanie, a mama siedzi na kanapie, zmęczona lub może ze złamanym ser-

cem, a płyta Tony'ego Gardnera obraca się na adapterze w rogu pokoju. Pan Gardner nagle umilkł.

– Dobrze – powiedział. – Zrobimy to w E. Potem może *I Fall in Love Too Easily*, tak jak planowaliśmy. A zakończymy *One for My Baby*. To wystarczy. Dłużej nie będzie słuchała.

Potem znów pogrążył się w rozmyślaniach i płynęliśmy wolno przez mrok przy wtórze cichego plusku wody.

– Panie Gardner – odezwałem się w końcu – mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko mojemu pytaniu, ale czy pani Gardner spodziewa się tego recitalu, czy będzie to cudowna niespodzianka?

Pan Gardner westchnął ciężko.

– Chyba musimy to zaliczyć do kategorii cudownych niespodzianek – odrzekł i po chwili dodał: – Bóg wie, jak ona zareaguje. Może nawet nie dojdziemy do *One for My Baby*.

Vittorio skręcił jeszcze raz i nagle znaleźliśmy się wśród śmiechu i muzyki, bo przepływaliliśmy obok dużej, jasno oświetlonej restauracji. Wyglądało na to, że wszystkie stoliki są zajęte, kelnerzy się uwijali, goście wyglądali na bardzo zadowolonych, mimo że o tej porze roku nad kanałem było pewnie dość chłodno. Po ciszy i mroku, przez który dotąd płynęliśmy, ta restauracja jakoś działała na nerwy. Miałem uczucie, że to my stoimy

nieruchomo, patrząc z molo, a przed nami przepływa rozświetlony statek. Zauważyłem, że kilka osób spojrzało w naszą stronę, ale nikt nie przerwał rozmowy ani nie zwrócił na nas większej uwagi, i po chwili restauracja była już za nami.

– To zabawne. Wyobraża pan sobie, co ci turyści by zrobili, gdyby dotarło do nich, że właśnie przepływa przed nimi w gondoli legendarny Tony Gardner? – powiedziałem.

Vittorio, który nie bardzo zna angielski, to akurat zrozumiał, i roześmiał się pod nosem. Pan Gardner jednak nie odpowiedział od razu. Znów znaleźliśmy się w mroku, płynąc wąskim kanałem i mijając słabo oświetlone drzwi.

– Mój przyjacielu – odezwał się wreszcie – pochodzi pan z komunistycznego kraju i dlatego nie wie pan, jak te rzeczy działają.

– Panie Gardner, mój kraj nie jest już komunistyczny. Jesteśmy teraz wolnym narodem.

– Bardzo mi przykro. Nie chciałem wyrazić się lekceważąco o pańskim narodzie. Jesteście dzielnymi ludźmi i mam nadzieję, że będziecie żyli w pokoju i dobrobycie. Chciałem tylko powiedzieć, że ponieważ pochodzi pan stąd, skąd pan pochodzi, wielu rzeczy pan po prostu jeszcze nie rozumie. Tak samo jak ja bym nie rozumiał wielu rzeczy w pańskim kraju.